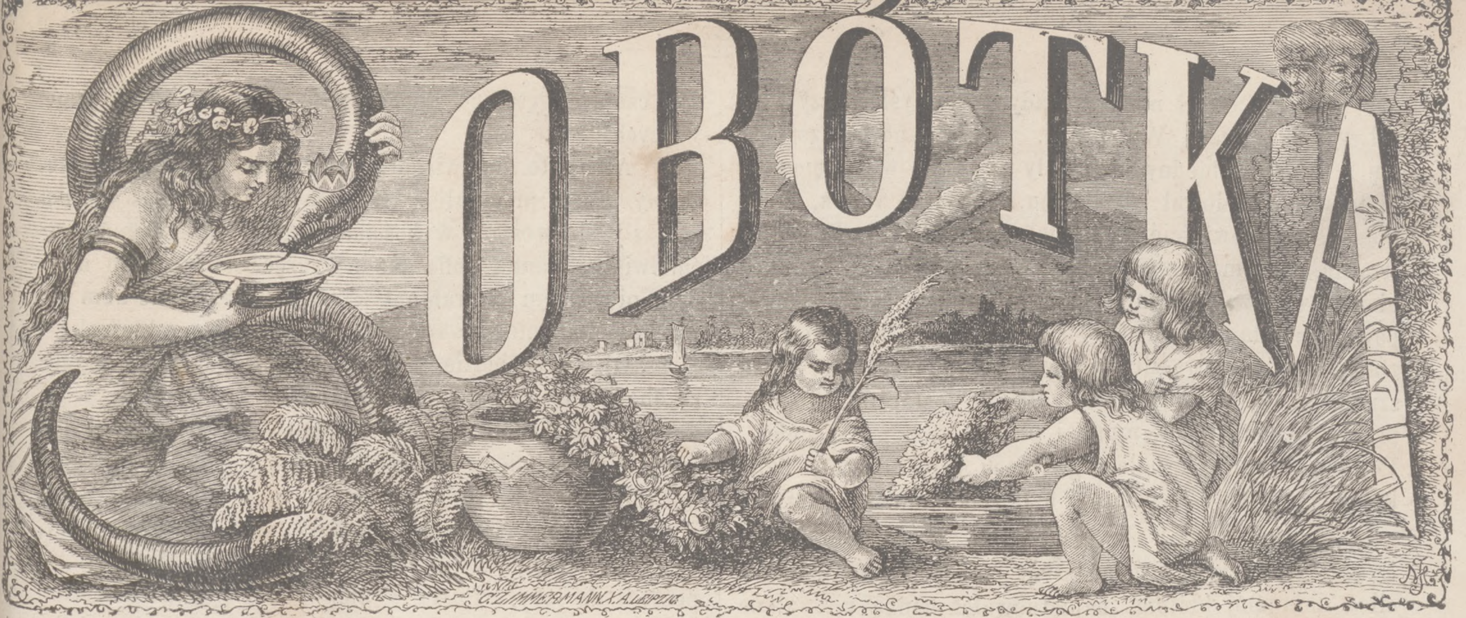


TYGODNIK BELLETRY SYCZNY I LLUSROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 38. Poznań, dnia 17 Września 1870. Rok II

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Dokończenię.)

VIII.

Z g o d a.

Słońce już dawno nad lazurowy wzniosło się widnokrąg, zbudzone ptaszki ranną nuciły modlitwę, kwiaty i drzewa balsamiczną oddychały wonią, w polu już dawno brzmiała pieśń wesoła żniwiarzy, niejeden z mieszkańców miasteczka do codziennéj zabierał się pracy,— tylko w zakopconéj pana Filipa izdebce jeszcze głęboka panowała cisza. Pan Filip po wczorajszych wstrząśnieniach zażywał snu dłuższego niż zwykle, zatopiony w chaotycznéj mięszaninie najrozmaitszéj pościeli, ponad którą nos tylko wysuwał się ciekawy, jako szczyt skały podmorskiéj nad powierzchnię pomarszczonéj fali. Złośliwy zazwyczaj snu bożek, tęczowobarwny Morfeusz, zlitował się téj nocy nad skołatanym pana Filipa umysłem i za wszelkie dnia wczorajszego cierpienia, zesłał mu sen miły, rozkoszny... Pan Filip pośród téj mglistéj atmosfery, jaka wszystkie senne otacza widziadła, ujrzał się nagle w swéj wielkiéj izbie gościnnéj, w nowym wygodnym fotelu, z ulubioną w ustach fajeczką, ujrzał obok siebie Kubusia, któremu szczęście świeciło na twarzy, ujrzał jakąś postać niewieścią z czarnym włosem, z czarnemi oczyma, ujrzał nareszcie pięć istot małych i żwawych, które w okół dziadowskiego fotelu niestworzone wyprawiały figle.... Pan Filip nie zadziwił się bynajmniéj; każda z tych mglistych postaci była jakby bliską jego serca i duszy; w tym gronie cieni niepewnych czuł się spokojnym, szczęśliwym, wesołym, z rozkoszą rozpierał się w fotelu, z rozkoszą palił fajeczkę, z rozkoszą igrającym przyglądał się dzieciom.... Nagle huk straszny wstrząstnął ścianami domostwa, czarny kłąb dymu wpadł oknem do izby gościnnéj, senne postacie zniknęły pod mgły téj zasłoną i zadziwiony pan Filip w jednéj chwili na krwawém ujrzał się pobojowisku. Stosy trupów leżały w około, grad kul straszliwym świstem przecinał powietrze, chmura dymu zciemniła blask słońca, a huk armat wstrząsał ziemię i głuszył jęki konania. Huk ten coraz to silniéj raził uszy pana Filipa i sen zwolna ciężkie opuszczał powieki... Pan Filip w półsennym znajdował się stanie; zniknął przerażający obraz pobojowiska, dym tylko unosił się kłębami i grzmot armat ryczał bez przerwy. Pan Filip oczy otworzył nareszcie, z trudnością podniósł się na łóżku i sapiąc zamglone przecierał źrenice. Nagle łoskot straszliwy, poruszył ścianami izdebki, drzwi się zatrzęsły pod gradem silnych uderzeń, jak gdyby tysiąc rąk i tysiąc nóg roztrzaskać je chciało w kawały. Pan Filip wyskoczył z wielkiéj pościeli, na prędce owinął się kołdrą, odsunął już zgiętą zasówkę i odskoczył na środek pokojn. Przez drzwi na rozcież otwarte, jak para lwów rozjuszonych, wpadli nagle z krzykiem i płaczem — pan Walenty z godną małżonką!.... Pan Filip skamieniał na miejscu.

„Gdzie moja córka, moja córka!...“ krzyczala pani Petronela, jak w konwulsjach rzucając się i płacząc.

Łotrze jakiś! ryczał pan Walenty, wstrząsając biednym sąsiadem, „zapłacisz mi drogo tę sztukę!... Mów, człowieku, gdzie twój syn, gdzie moja córka, gdzieś wysłał tę dobraną parę!...

Pan Filip stał niemy, blady i bezmyślne oczy wlepił w dziką twarz Walentego. Kołdra powoli zsunęła się z ramion i biedny, osłupiały pan Filip w Adamowym nieledwie znajdował się stroju.... Był to widok, który nie bardzo niewieściéj schlebiał wstydliwości. Pani Petronela, pomimo rozpaczliwego gniewu i żalu, zarumienioną twarz zakryła fartuchem i zawodząc jęki i płacze, powoli zeszła ze schodów. Rozpacz odebrała jéj siły; złamana bólem straszliwym, nie wiedząc co czynić, gdzie szukać córki porwanéj, usiadła na ostatnim stopniu, przytuliła głowę do mura i płakała cicho, okropnie... Pod wpływem tak bolesnego ciosu przestała być delikatną, poważną szlachcianką, była tylko kobietą i matką..

„Słuchaj łotrze!“ krzyczał daléj pan Walenty, potrząsając pięścią nad struchlałym panem Filipem, „obrzuciłeś dom mój błotem, napiętnowałeś hańbą nieskalane moje nazwisko, narzuciłeś mi na kark twego synalka urwisza!... z tém wszystkiem obrachujemy się późniéj, teraz trzeba ratować mój honor... Za tydzień ślub będzie, rozumiesz!... A jak mi słowo piśniesz przed ludźmi, to z waszego czartowskiego gniazda ani ślad nie zostanie na ziemi!... To mówiąc, rozjuszony pan Walenty raz jeszcze pogroził mu pięścią, trzasnął drzwiami, że aż dom poruszył się w posadach i płaczącą podtrzymując małżonkę, wolnym krokiem powrócił do domu.

Pan Filip chwilę jeszcze pozostał zkamieniały na miejscu... Cała ta scena zdawała mu się snem tylko dziwnym i strasznym; umysł jego, nie mogąc pojąć i zrozumieć tego okropnego widziadła, zatrzymał się nagle i ruszyć nie mógł się z miejsca, jak płaz ogromnym przywalon kamieniem. Pan Filip ogłupiał zupełnie... Powoli jednakże wstrzymana działalność umysłu zaczęła niedołężnym postępować krokiem. Pan Filip obejrzał się po izbie, spojrzał na stan swego stroju, zadrżał jakby iskrą tknięty elektryczną, za sapał, zgrzytnął zębami, lotem błyskawicy zarzucił na siebie odzienie bez ładu i bez uwagi, machinalnie owinął się kołdrą, na głowę zasadził ombrelkę, i drżąc i dzwoniąc zębami, jak szalony zbiegł na podwórze. Pod szopą nie było wózika, w stajni nie było siwoszów... Pan Filip upadł bez siły, konwulsyjnie zakopał się w słomę, nakrył się kołdrą zupełnie i tak pozostał czas pewien bez tchu, bez głosu, bez ruchu..... Tymczasem państwo Matusińscy zbliżyli się zwolna do domu. Pani Petronela, widząc ludzi gromadę przed domem, niechcąc im łez swych pokazać, zwróciła się w stronę przeciwną i pobiegła — wprost do probostwa. Pomimo żalu, pomimo nienawiści, jaką względem księdza żywiła tak długo, poznać i uczuć musiała w nieszczęściu, gdzie jest jedyny ratunek, jedyna pociecha w boleści....

Pan Walenty zmarszczył się strasznie i z gniewem przystąpił do stojących przed domem sąsiadów.

„Ej, panie Walenty, panie Walenty!“ potrząsając głową odezwał się pan Susełka, „mogliście się lepiéj przyjrzeć waszéj sprawie... Niech wam tego Bóg nie pamięta!...

„Naraziliście gminę na koszta!“ krzyknął czupurny pan Koziołek.

„Wystawiliście na pośmiech całe miasto!“ z chmurném czołem dodał Wybierkiewicz. Pan Walenty pobladł widocznie i pytająco spoglądał na smutne twarze mówiących.

„Alboż to nie wiecie?“ odezwał się pan Susełka, żeśmy proces przegrali z kretesem, że tam jakieś akciska znalazły się wczoraj w kościele... A jeszcze, jak na pośmiewisko, panna Zofia już po zaręczynach z tym młodym niewartem z Grabinek... Oj, nawarzyliście nam piwa sąsiadku, niech wam Bóg tego za złe nie bierze!...“

„Oj, oj, sąsiedzie, wprowadziliście nas w błoto porządne!“ odezwali się chorem zebrani.

Pan Walenty uczuł w piersiach ból straszliwy, jak śmiertelne pchnięcie sztyletem, jakiś jęk cichy, okropny, jak gdyby strona życia pękła mu w sercu, ujrzał w oczach, na tle ciemności zupełnéj jakieś skoczne iskry, płomyki, błędny wzrok zatoczył w około i chwiejąc się poszedł do izby. Pusto w niéj było i cicho... Pan Walenty usiadł na ławie i machinalnie zaczął nakładać fajeczkę. Był on spokojnym na pozór, ale ktoby się wtenczas jego błędnym był przypatrzył oczom, byłby ujrzał pod maską spokoju, duszę zranioną śmiertelnie, krzyczącą głosem rozpaczy. Umysł pana Walentego jakimś czarnym zakrył się kirem, z pod którego zwolna się tylko grobowe, okropne dobywały myśli... Proces przegrany — to ruina wszystkich nadziei, to zupełna utrata szacunku, to przekleństwo wszystkich mieszkańców miasteczka!... A te fatalne, nagle zaręczyny!... Pan Walenty zatrząsł się cały... I na cóż więc poświęcił swą córkę, nacóż ją naraził na hańbę, nacóż dom najpiętnował niesławą?... Dopóki chęć zemsty kierowała jego umysłem, pan Walenty był ślepym na wszystko, teraz dopiero cała okropność postępku jasno stanęła mu przed oczyma, strach przejął go zimny, straszliwy, niebezpieczeństwo, w jakiem Kachna znajdować się mogła, w najdzikszych przedstawiało się barwach.... A nuż pan Filip odkryje prawdę, z radością rozgłosi po świecie, nuż się synowi żenić nie pozwoli stanowczo?.... Myśli te zajęły całkiem umysł pana Walentego; pod wpływem takiego gradu nieszczęścia pan Walenty pozostał ojcem jedynie i myślał tylko o córce!... Pierś jego konwulsyjnym ścisnęła się jękiem, w oczach pociemniało zupełnie, roześmiał się dziko, straszliwie, rzucił fajkę i rozbił o ścianę i ryknął płaczem kurczowym, okropnym... W téj chwili drzwi uchyliły się cicho i do izby wsunął się na palcach poważny, spokojny ksiądz proboszcz. Pan Walenty nie spostrzegł go wcale. Ten płacz konwulsyjny olbrzyma przerażał i rozczulał zarazem... Łzy zaświeciły w oczach proboszcza, zbliżył się cicho ku niemu i dłoń położył na barkach. Pan Walenty zadrżał, błędne oczy utkwił w proboszcza i bezwładnie padł na kolana... Duma, zazdrość, nienawiść, — wszystko to złamało się w jego duszy pod tym ciosem okropnym nieszczęścia....

„Księże proboszczu!“ zawołał głosem błagalnym i drżącym, całując kraj jego szaty, „ja nie proszę o litość dla siebie... Zasłużyłem na wzgardę, nienawiść, ja wszystko wycierpię z ochotą,... ale córkę, moją córkę ratuj, księże proboszczu!...“

„Panie Walenty“ rzekł proboszcz łagodnie podnosząc go z ziemi, „co było, puśćmy w niepamięć. Oto dłoń moja, niech między nami zgoda panuje wieczysta!...“

Pan Walenty z uszanowaniem ucałował rękę proboszcza.

„O twoją córkę“ dodał proboszcz, „możesz być całkiem spokojnym. Rzecz ta się skończy małżeństwem. Z panem Filipem pomówię natychmiast...“

Pan Walenty pokłonił się do kolan proboszcza i gorączkowo całował dłoń jego. Ksiądz proboszcz mocno wzruszony wybiegł co prędzéj z pokoju. Przybywszy do pana Filipa zadziwił się proboszcz niemało... Pan Filip był uśmiechniętym, nadskakującym, jak zwykle!... Cóż taką dziwną wywołało zmianę? – Prosty, logiczny obrachunek... Pan Filip, ochłonąwszy z przerażenia, oswoiwszy się zwolna z fatalną rzeczywistością, odzyskawszy władzę zdrowego i zimnego rozmysłu, do tego wreszcie doszedł przekonania, iż nic nie pozostaje mu więcéj, jak spokojnie przykremu poddać się losowi i błogosławieństwem ojcowskiem opłacić wybryk synalka. Odmowa mogłaby go łatwo na nieskończone narazić wojny i kłótnie, — pan Filip niemiłem tknięty doświadczeniem, zmienił się bardzo w tym względzie i obawiał się nowych zatargów. Zresztą Kachna Matusińska była partją wcale niebrzydką, a pan Filip, widząc, że z Zosią rzecz już skończona na zawsze, przyjaźniejszém już okiem spoglądał na ładny posażek sąsiadki. Kolligacya z panem Walentym nie uśmiechała mu się bynajmniéj, ale stosunek z nim i jego żoną mógł pozostać zimnym, dalekim jak dotąd. Pan Filip uspokoił się zupełnie, jedyna tylko myśl niesłychanem napełniała go oburzeniem, myśl, że tak długo oszukiwać dał się synowi, że zdradzieckich jego zamiarów ani na chwilę nie przeczuł... Pan Filip poprzysiągł mu zemstę i nienawiść do deski grobowéj!...

Wkrótce potém dwaj sąsiedzi, dwaj przyszli ojcowie najszczęśliwszéj pary w obecności księdza proboszcza poprzysięgli sobie przyjaźń dozgonną. O ile szczerą być mogła taka przysięga, — czytelnik domyśli się łatwo. Pan Filip na wszystkie zaklął się świętości, że o miłostkach i ucieczce Kubusia z ust szanownego sąsiada pierwszą odebrał nowinę, i na dowód swych szczerych zamiarów, sam na jednym z pana Walentego gniadoszów do powiatowego podążył miasteczka, dokąd, podług jego obrachunku, zakochana para jedynie udać się mogła. Pan Walenty na drugim rumaku, rozumie się czysto na domysł, pokłusował drogą do lasu...

Ksiądz proboszcz, uradowany pomyślnym swych zabiegów owocem, w jak najlepszym humorze powrócił szybko do domu. W gabinecie, już dobrą godzinę spokojnie oczekiwał go Piórkiewicz.

„Winszuję, panie nauczycielu!“ zawołał proboszcz wesoło. „Twoje szczęśliwe odkrycie wiele sprawiło dobrego... Koniec fatalnego procesu, spokój i zgoda w miasteczku i dwa wesela w dodatku, — oto mi owoc niemały... Powinniśmy podziękować ci wszyscy!...“

Piórkiewicz uśmiechnął się boleśnie, oczy skromnie utkwił w podłogę i pokornie ruszył ramionami.

„Cieszę się, księże proboszczu“ płaczliwym odezwał się głosem, „że jako ślepe narzędzie w ręku opatrzności tyle szczęścia zrządziłem na świecie. Ale cóż, księże proboszczu,... alboż to kto, prócz dobrodzieja, wywdzięczyć za to się umie?... Obywatele prześladować mnie będą do grobu, nazywać szpiegem i zdrajcą, nikt zemną obcować nie będzie, a ja cóż, księże proboszczu, jakżeż mam temu zaradzić?... Będę cierpieć, cierpieć spokojnie!...“

Proboszcz poznał słów tych doniosłość i w zamyśleniu chodził po izbie.

„Ot, księże proboszczu,“ mówił daléj słodko Piórkiewicz, „z tego to względu przychodzę z prośbą, z wielką prośbą do księdza proboszcza... W powiatowém mieście niedawno zmarł nauczyciel, gdybym otrzymał to miejsce, mógłbym żyć spokojnie, szczęśliwie... Ksiądz proboszcz ma liczne stosunki, mógłby mi swoim wpływem tę korzystną wyrobić posadę i uwolnić od tylu utrapień... Byłbym wdzięcznym dobrodziejowi do śmierci!...“

Twarz proboszcza rozjaśniła się nagle.

„Możesz pan liczyć na mnie!“ zawołał z radością. „Użyję wszelkich sposobów, aby ci szczęście zapewnić!...“

Piórkiewicz pocałował go w rękę i cicho wyszedł z pokoju. Nadzieja lepszéj przyszłości w tęczowych mu zabłysła kolorach...

Tegoż dnia, około południa, ku wielkiéj radości zacnego pana Tomasza, który, (jak tego czytelnik domyślił się pewnie z łatwością) znaglony prośbą braciszka, zakochanéj parze niechętnie dom swój otworzył, przybył nadzielnym gniadoszu pan Walenty do leśnéj zagrody Powrotu Kubusia i Kachny, przyjęcia, jakiego w domu doznali, domyślnym czytelnikom naszym szczegółowo nie myślimy opisywać; dodać nam tylko wypada, że ta maleńka przejażdżka na umyśle swawolnéj Kachny bardzo zbawienne sprawiła wrażenie. Pomysł ten z początku podobał jéj się niemało, ale kiedy się sama zobaczyła z Kubusiem wśród lasu, pośród ciemności, strach ją ogarnął niezmierny i rzewnémi rozpłakała się łzami. Nazajutrz głęboki smutek ogarnął jéj duszę, żal i wstyd do figlarnego zakradł się serduszka i biedna Kachna płacząc powróciła do domu, płacząc przesiedziała dni kilka w izdebce i, chociaż w końcu do zwykłéj powróciła wesołości, nigdy już więcéj nie probowała magicznéj siły zalotów, utraciła na zawsze tę śmiałą, naiwną figlarność...

IX.

Epilog.

W miesiąc po opisanych wyżéj wydarzeniach, w cichym kościołku miasteczka, w piękną, sierpniową niedzielę, po uroczystych nieszporach głośne zabrzmiało „Veni creator“ i ksiądz proboszcz, do łez rozczulony, dwom najszczęśliwszym błogosławił parom... Wspólne wesele odbyło się pod strzechą proboszcza. Aż da późnéj nocy nieprzerwana trwała zabawa, Bałabartek zdawną panią swego serca do upadłego wycinał hołupce w mazurze, Felcia i Misia w dziwnie melancholicznym były usposobieniu, pani Baltazarowa nadzwyczaj była małomówną, pan Filip w brylantowym humorze niestworzone opowiadał dykteryjki, pan Walenty obok posępnéj pani Petroneli w ponurem siedział milczeniu, pan Feliks ironicznie uśmiechał się czasem i niebardzo zdawał się być szczęśliwym, ksiądz proboszcz, na pląsającą spoglądając Zosienkę, ocierał łzy rozczulenia, a nowożeńcy... któż ich szczęście opisać jest zdolny.. Rozochocony pan Filip, przy pierwszym blasku jutrzenki wniósł ostatni toast

pożegnalny na cześć zgody i jedności braterskiéj. Brzęk kielichów rozległ się w salonie, muzyka huczne wydobyła tony, a ponad nią zagrzmiał okrzyk potężny: „Kochajmy się!...“

Czy myśl tege toastu pojęli i podzielili wszyscy z weselników, czy święta zgoda utrzymała się nadal w miasteczku?, — jaki los naszym znajomym dostał się pózniéj w udziale?, – oto pytania, na które słów kilka odpowiedzieć świętym jest dla nas obowiązkiem.

Ksiądz proboszcz, wkrótce po zamęźciu synowicy, wyniesiony na godność dziekana w jedném z większych naszego księstwa miasteczek, opuścił z żalem pole dotychczasowych swych działań. Miejsce jego zajął siwy staruszek, którego żywot męczeński może nam kiedy bogatym będzie materyałem, do bardzo prawdziwego obrazka.

Staś i Zosia z niedościgłych lazurów poezyi zbliżyli się znacznie do ziemi i szczęśliwie żyją w Grabinkach. Pan Feliks, który z powodu wygranego procesu ożenieniem syna, martwić się mocno rozpoczął, kupił sobie maleńki folwarczek gdzieś, w stronach innych zupełnie, tam żywot prowadzi samotny.

Kubuś i Kachna z pięciorgiem istot maleńkich, gospodarują żwawo w zasobnéj oberży i w handlu świetnie kwitnącym. Pan Filip, nie chcąc, jak mówił, przeszkadzać synowi, do powiatowego wyniósł się miasteczka i żyje tam sobie z procentu

Państwo Matusińscy, niechcąc żyć dłużéj na miejscu, które im wielkość minioną i dotkliwy przypominało upadek, ustąpili piekarnię Bartkowi i wynieśli się daleko, daleko aby wśród innych stosunków lepszéj poszukać fortuny. Bałabartek, po upływie lat kilku, ożenił się z wdówką niemłodą, ale za to nieźle posażną.

Piórkiewicz, dzięki staraniom proboszcza, otrzymał pożądaną posadę.

W miasteczku D. nowe dziś żyje pokolenie. Drobne zawiści, plotki, intrygi są dzisiaj strawą codzienną, dawna jedność rozpadła się całkiem, a nieszczęsna wojna o pannę, jako lepszych czasów granica, u wszystkich żyje w pamięci....

Poznań, w kwietniu i maju 1870 r.

KONIEC.

Do T... R...

Gaj tak zielony, błoń tak kwiecista
I promyk słońca świetlany,
W strumieniu fala srebrna, przejrzysta,
Ty milczysz ptaszku kochany!

W ogródku róża płonie rozkosznie,
W rosy perełki ozdobna,
Może łzy leje po zgasłéj wiośnie,
Milczy twa lutnia nadobna.

O zanuć znowu słowiczku drogi,
Wszak doba marzeń nie długa;
Róże się zmienią w ciernie i głogi,
I wichrem zmąci się struga.

Więc śpiewaj pieśni, wdzięczna ptaszyno,
Gdy w koło słońce i róże,
Bo zerwą lutni strunę dziewczyno,
Dość wcześnie jesienne burze.

w Czar....... w Czerwcu.

Uriela.

Wojna.

III.

Bitwy stoczone pod Metz dodały ducha Paryżanom. Rząd nazwał je zwycięztwami, mianowicie, dzień 16-go sierpnia obchodzono w Paryżu jako dzień walnego tryumfu francuzkiego. Dzienniki podawały tryumfująco ogromne cyfry strat pruskich, a bulwarowi strategicy obliczali, że armia pruska zdziesiątkowana przez kartaczownice pod Gravelotte, musi rozdzielić się i gdy 200,000 zostanie pod Metz, aby strzedz marszałka Bazain'a, nie wiele co więcéj będzie mogło ruszyć do Paryża. Z tymi da sobie radę Mac Mahon!

Armia księcia Magenty w obozie pod Châlons dosięgła rzeczywiście, dzięki staraniom gen. Palikao, poważnéj liczby. 150,000 ludzi, 400 dział, 70 kartaczownic, stanowiły siłę nie lada, która wsparta na warowniach paryzkich mogła stawić groźny opór nieprzyjacielowi. Przecież wzgląd na zamkniętego w Metz marszałka Bazain'a zmienił pierwotny plan Mac Mahon'a, który się chciał cofnąć pod Paryż, i pod naciskiem ministra wojny postanowiono w głównéj kwaterze w Châlons ruszyć na wschód, ominąć armię księcia saskiego idącą ku Châlons, uderzyć na tyły armii oblegającéj Metz, zgnieść ją i połączyć się z Bazaine'm. Udanie się tego planu niszczyło od razu wszelkie dotąd przez Prusaków osiągnięte rezultaty; armia pruska zostałaby odcięta od komunikacyi z krajem i wepchnięta pomiędzy ufortyfikowany Paryż i połączonego z Bazaine'm Mac Mahon'a, musiałaby sobie orężem torować drogę do domu, czegoby bez ciężkich strat dokonać nie mogła. Sytuacya wojsk nieprzyjacielskich względem siebie była originalną Podczas gdy Ks. pruski szedł na Paryż, armia francuzka opuszcza linię broniącą stolicę i idzie na wschód ku granicy pruskiéj. Lecz czyż się można było spodziewać po oględnych i metodycznych strategikach pruskich, iż pójdą oni na stolicę Francyi nie oglądając się na to, że za tyłami armii pozostawiają całe wojsko francuzkie, czyż się można było spodziewać, że Moltke poprowadzi wojnę à la Karol XII?. Jeżeli armia Ks. pruskiego wstrzyma się w pochodzie swym na Paryż i zwróci się w ślad za Mac Mahone'm, który z frontu musiał się zetrzeć z armią Ks. saskiego, to druga armia francuzka musiała zostać otoczoną i groził jéj los pierwszéj, albo jeszcze gorszy.

Tak się też stało. Zaledwie Mac Mahon opuścił Châlons i ruszył na północ do Reims, a z tamtąd na wschód, gdy i Ks. pruski, który stał około Vitry nad Marną zwrócił się na północ. Prawie jednocześnie dotarły obiedwie armie do brzegów Maasy i 29 sierpnia starły się pod Beaumont. Mac Mahon poznał w jak niebezpiecznem znajduje się położeniu. Cofnąć się na zachód nie mógł, gdyż w Mezières już byli Prusacy i odcięli od głównéj armii korpus gen. Vinoy, który co prędzéj do Paryża cofać się musiał. Postanowił tedy przejść pod M...on przez Maas i zwrócić się ku Sedan, z kąd może ... się uda przez Carignan rozbić armią Ks. saskiego i dostać się do Metz. Rano 30-go gdy gros armii już przeszło przez Maas, został korpus gen. Failly z nienacka napadnięty przez Prusaków i po zaciętéj walce zupełnie w rozsypce pierzchnął za rzekę. Armia francuzka znalazła się teraz w wązkim trójkącie, którego wierzchołek stanowiły fortece Montmédy i Sedan, rzeka Maas i granica belgijka dwa boki, a w podstawie pomiędzy Bazailles i Francheval stanęła armia. Rankiem 31-go sierpnia rozpoczęła się mordercza walka, trwała cały dzień i w któréj Francuzi utrzymali się na swych stanowiskach, lecz w czasie któréj wojska niemieckie zdążyły obéjć Sedan i zająć pozycye na północ zachód tego miasta. Wojsko francuzkie zatem było zupełnie otoczone, i musiało sobie bagnetem utorować drogę przez szyki nieprzyjacielskie, lub przejść granicę belgijską. Ledwie kilka godzin, podczas krótkiéj nocy letniéj, odpoczęli żołnierze, gdy 1-go września z pierwszym brzaskiem dnia zagrzmiały działa. Prusacy uderzyli wielkiemi siłami na lewe skrzydło fzancuzkie, rozbili je, wepchnęli częścią za granicę belgijską, częścią do Sedan, zajęli Francheval i La Chapelle i otoczyli tym sposobem armię francuzką do koła. Na prawem skrzydle i w centrum francuzkiem trwał jeszcze bój do 1-széj z południa, lecz bój rozpaczliwy, prowadzony bez jednolitego planu, gdyż gen. Mac Mahon został o 6-téj godzinie rano ciężko ranny i zdał dowództwo na generała Wimpffen. Cesarz, który znajdował się przy armii, usiłował zaentuzjazmować żołnierzy i sam prowadził ich do boju, lecz wszystkie te wysiłki były daremne. Żołnierze głodni od 48 godzin, zdemoralizowani klęskami, bez zaufania do swych dowódzców, cofali się pod mury Sedanu i około drugiéj z południa znalazła się cała armia ściśnięta w mieście, wałach fortecznych i najbliższem tychże otoczeniu. Straszne wtedy nastąpiły chwile. Prusacy otoczyli miasto do koła i zasypywali je granatami, które nigdy nie chybiały celu, bo czy padły na ulicę, czy w fossę forteczną, czy przez okno do kawiarni, wszędzie uderzały wściśnięte tłumy zrozpaczonych żołnierzy. Do piątéj wieczorem trwała ta kanonada, na którą słabo odpowiadały działa forteczne, a gdy z powodu strategicznéj pozycyi armii, głodu i upadłego ducha żołnierzy dalsza obrona była niemożebną, wywieszono białą chorągiew. Prusacy zażądali podania się na łaskę i niełaskę. Generał Wimpffen był w rozpaczy. Niedawno co przybył był z Algieru do armii, nie jego było winą, że została pobitą i osaczoną w Sedan i jemu przypadło losem haniebne zdanie się Prusakom na łaskę i niełaskę. Widział on, że żołnierze przywitali białą chorągiew strzałami, sądził, że hańba poddania się bezwarunkowego wzbudzi w nich rozpaczliwe bohaterstwo, jedyny w tych okolicznościach ratunek. Kazał tedy bębnić na alarm i wezwać do wystąpienia tych, którzy z nim razem przebić się zechcą. Ale głos bębna, który tyle razy prowadził do szturmu i zwycięztwa francuzkich żołnierzy, był tym razem głosem wołającego na puszczy. Trud ciągłych marszów, walki i głód złamały hart duszy tylu walecznych; „w dzień musimy bić się, w nocy maszerować, a nie ma co jeść ani pić“ narzekali żołnierze. Z całéj armii tylko 2000 zgłosilo się ochotników, gotowych raczéj umrzeć, aniżeli złożyć broń. Fakt ten zdecydował dowódzców. Drugiego dnia rano podpisał gen. Wimpffen kapitulacyę, na mocy któréj cała armia Mac Mahona, licząca jeszcze 83,000 ludzi, złożyła broń. 10,000 koni, 400 dział polowych i 150 pozycyjnych, 70 kartaczownic dostało się Prusakom; 50 generałów, 4000 oficerów zostało w niewoli. Tych z pomiędzy nich którzy podpisali rewers, że w obecnéj wojnie przeciw Prusom walczyć nie będą, puszczono na wolność: 1100 uczyniło to, ani jednego Alzacczyka nie było pomiędzy tymi. Cesarz Napoleon poddał się osobiście Królowi Wilhelmowi i z honorami winnemi jego osobie został posłany do Wilhelmshoehe pod Kasel; młody nęstępca tronu francuzki, który także był przy armii, był już poprzednio przeszedł do Belgii, zkąd odjechał do Anglii.



Kartaczówka.

Był to straszliwy dzień dla Francyi, ten 2-gi września, gdy armia Mac Mahona złożyła broń. Nietylko bowiem pozostał kraj prawie bez obrony i droga do Paryża stanęła otworem Prusakom, ale na domiar nieszczęścia ta ostatnia armia nie wyginęła broniąc walecznie ziemi ojczystéj, lecz poddała się; 80,000 ludzi złożyło broń, oddało pół tysiąca dział. A naczelnik tego wojska, cesarz Francyi, synowiec wielkiego Napoleona, nie zginął na polu walki, lecz złożył szpadę w ręce króla Wilhelma. Ten, przed niedawnemi laty najpotężniejszy mocarz Europy, przeniósł upokorzenie uwięzienia w zamku, który był długi czas rezydencyą króla Westfalii, Hieronima Bonapartego, w zamku gdzie tysiąc pamiątek przypominać mu będzie co dzień potęgę Napoleona I. W obec tego, co się stało pod Sedan, odzyskiwał sławę gen. Mack, który pod Ulmem poddał 30,000 ludzi Napoleonowi I, nie wspominając wcale o poddania się Węgrów pod Villagos. Francya po klęsce Sedańskiéj była nietylko nieszczęśliwą, ale i zhańbioną. Czyż nie miał słuszności ów major pruski, który się odezwał się do korespondenta „Independance belge“ na pobojowisku pod La Chapelle drwiącemi słowy: „La grande nation n'est plus“.

Ale na szczęście i najstraszliwsza klęska nie zdoła powalić o ziemię silnego i wielkiego narodu; klęski takie są czasem nawet zbawienne, wielkie nieszczęścia hartują narody, otwierają im oczy na wady i zdrożności własne i nieraz bywa data klęski i datą odrodzenia narodu. Francuzkie dzienniki zaręczają, że i Francyi na na dobre posłużą poniesione klęski; bodaj się spełniły ich słowa. Rozpoczęło się nawet już to dzieło odrodzenia obaleniem rządów cesarskich i ogłoszeniem Rzeczypospolitéj. Nie mogło się zresztą stać inaczéj. Pod wrażeniem wiadomości z pola bitwy stracili głowę najzagorzalsi bonapartyści i cesarstwo tak silne niedawno, poparte 7 milionami głosów plebiscytu, upadło bez wystrzału, bez rozlewu kropli krwi, nie broniąc się nawet protestem.

Gdy wieczorem 3 go września doniósł gen. Palikao izbie prawodawczéj o poddaniu się Mac Mahona i wzięciu w niewolę cesarza i w imieniu rządu postawił wniosek zamienienia ministerstwa w rząd tymczasowy, wystąpił naprzeciw niemu Jules Favre, znany członek lewicy i deputowany Paryża, żądając detronizacyi cesarza i wybrania rządu prowizorycznego przez izbę. Thiers wniósł o utworzenie rządu tymczasowego, ale nie wspomniał nic o detronizacyi. Następnego dnia miała izba głosować nad temi wnioskami. Tymczasem fatalna wiadomość rozbiegła się lotem błyskawicy po mieście i wywołała krzyk zgrozy i oburzenia. „Detronizacya" stała się hasłem tłumów i z tym krzykiem na ustach pociągnął lud rano w niedzielę 4-go września przed mieszkanie gen. Trochu, gubernatora Paryża, a ztamtąd przed pałac ciała prawodawczego. Gwardya narodowa i ruchoma stanęła po stronie ludu, wojska liniowe nieliczne i bez wiary już w gwiazdę Bonapartych, pozostały obojętne: ruch rósł co minutę. W izbie prawodawczéj rozpoczęto właśnie obrady nad wczorajszemi wnioskami, gdy z krzykiem „niech żyje Rzeczpospolita" wpadły tłumy do sali obrad. Napróżno prezes zgromadzenia, a potem ulubieńcy ludu pp. Jules Favre i Gambetta usiłowali uciszyć lud i spowodować go do opuszczenia sali, tumult się wzmagał, zepchnięto prezydenta z jego krzesła, mówców z mównicy, słowem lud rozpędził izbę. Zmiana rządu na drodze legalnéj stała się niemożliwą. Wtedy udało się kilka członków lewicy na ratusz, ogłosili Rzeczpospolitę, a siebie samych rządem tymczasowym, czyli, jak się nazwali dwa dni późniéj, rządem obrony narodowéj. W skład nowego rządu weszli przewódzcy opozycyi parlamentarnéj, deputowani Paryża, w części znani z roli jaką odegrali w r. 1848: pp. Arago, Pelletan. Jules Favres, Gambetta, Glais-Bizoin, Jules Simon, Crémieux, Ferry, Picard, Garnier-Pagès, i Rochefort. Prezydentem tego rządu został gen. Trachu. Generał ten nie był nigdy republikaninem, owszem nie taił nigdy swych sympatii dla Orleanów, toż, że on został prezydentem tego republikanckiego rządu, przypisać należy jedynie téj okoliczności, że pierwszem zadaniem nowego rządu jest obrona kraju, potrzeba mu zatem głowy militarnéj, a z wszystkich generałów francuzkich żaden nie cieszy się tak ogólną opinią utalentowanego organizatora i taktyka, jak właśnie gen. Trochu. Urodził się w r. 1815, przebiegł dość szybko wszystkie stopnie hierarchii wojskowéj i po wojnie roku 1866 został jako gen. dywizyi przydzielony do komisyi mającéj obradować nad reorganizacyą armii francuzkiéj. Postępowanie jego w téj komisyi, ostra krytyka wad organizacyi wojskowéj i nareszcie dzieło ogłoszone w roku 1867 pod tytułem: l'Armée française en 1867" ściągnęły na niego niełaskę cesarza. W dziele tem daje gen Trochu wcale niepochlebny obraz armii francuzkiéj, uderza ostro na zakorzenione w jéj organizacyi wady i nagli o szybkie tych naprawienie. Był to prawdziwy głos Kassandry, a jak został oceniony! Rząd przypisywał orleanistowskim sympatjom generała jego niekorzystne sądy. nieusłuchano rad, a autora usunięto nieledwie ze służby. Dopiero klęska pod Wörth powołała go na zaszczytne miejsce gubernatora Paryża, a rewolucya 4-go Września na naczelnika rządu. Inni członkowie rządu znani z izby jako utalentowani mówcy, przynoszą każdy krajowi przynajmniéj charakter czysty i serce patryotyczne. O jednym Rochefortcie, osławionym wydawcy Latarni, nieszczególne krążą mniemania i dziwiono się nawet w Paryżu, jak mógł Arago, Pelletan i inni dobrać sobie takiego kolegę. Jules Favre rozwiązał nam zagadkę. Kiedy 4-go wieczorem porozumiewał się rząd prowizoryczny z kadłubem izby prawodawczéj, obradującéj pod przewodnictwem Thiersa, wymienił p. Favre, zapytany kto należy do rządu, wszystkich członków tegoż, a na końcu Rocheforta. „Wolimy, dodał jak gdyby na usprawiedliwienie, mieć go wewnątrz, jak zewnątrz rządu." Nie ma co mówić, trafny środek, aby zamienić niepoprawnego demagoga w obrońcę porządku.

Na tem samem posiedzeniu, o którem wyżéj wspomnieliśmy, chciała bonapartystowska prawica wystąpić z protestem przeciwko temu, co się stało, lecz zaklinaniom Thiersa, aby nie siali niezgody gdy nieprzyjaciel puka do bram miasta, udało się powstrzymać ich od tego. Rozeszła się więc izba w spokoju, co gorętsi bonapartyści opuścili Paryż w ślad za rodziną cesarską, która wyjechała tegoż dnia, rząd z rankiem 5-go września nie miał żadnych czynnych przeciwników, mógł całe swe siły skierować na obronę Paryża.

Z pamiętnika obłąkanéj.

(Z Angielskiego.)

Zwykle za młodu popełniamy wiele niedorzeczności. Ja popełniłam według opinnii świata jedną, gdyż poszłam za mąż z miłości. Henryk i ja byliśmy równo biedni i świat odwrócił się od nas. Najbogatsi z rodziny pozostawili nas sobie samym, ażebyśmy mieli czas do skruchy, za to nierozmyślne małżeństwo. Za wpływem starego przyjaciela naszego domu, otrzymał Henryk miejsce kupczyka, przy domu handlowym w City. Pensya była szczupła, mieliśmy wówczas nie mało biedy i niedostatku do zwalczenia. Pomimo to byliśmy bardzo szczęśliwi. Uparta i zakochana para, niechcieliśmy uznać nauki, którą nam obrażeni rodzice dali. Niechcąc się upokorzyć, woleliśmy staczać walkę żywota w rzędzie innych biednych i od losu upośledzonych; dumną jestem, gdy wspomnę żeśmy walczyli i zwyciężyli. Dziś gdy nasze położenie tak dalece się odmieniło, że mogę je nazwać świetnêm, chętnie się myślą cofam do naszego dawniejszego życia, przypominając sobie rozmaite jego przejścia. Między temi znajduje się jednakowoż jedno zdarzenie — które jest połączone nie z miłemi, lecz okropnemi wspomnieniami.

Muszę nadmienić, że w owych czasach walki, uważaliśmy jako wielkie polepszenie naszego położenia, gdyśmy byli wstanie nająć w jednêm z przedmieść Londynu mały domeczek z ogródkiem. Poprzednio mieszkaliśmy i stołowaliśmy się w restauracyi. Myśl, że mieszkamy pod własnym dachem, sprawiała nam radość nie do opisania. Ażeby jednakowoż zrównoważyć pomnożonym wydatkom, postanowiliśmy część naszego nowego mieszkania odnająć.

Sprowadziwszy się do naszego małego domku, znaleźliśmy w krótce za pośrednictwem „Times'a" lokatora, kobietę. Wiek jéj liczyliśmy na mniéj więcéj pięćdziesiąt lat. Była wysoka, szczupła, lecz sztywność ruchów niemiłe wrażenie sprawiała. Chód był wolny, mierzony i ciężki, noga zdawała się niepodnosić przy stąpaniu. W ruchach panował zupełny brak giętkości i życia, podobna była więcéj do posągu poruszającego się za pomocą kółek, niż do istoty którą ożywiała ciepła krew. Włosy miała gęste, ale zupełnie siwe, nosiła je skromnie i gładko zaczesane, bez ozdób i czepka. Twarz była blada i głębokiemi zmarszczkami pokryta.

Przyjechała do nas późno wieczorem, dorożką, służąca moja zauważyła z zadziwieniem, że ta pani — bo nią była oczywiście — siedziała na koźle obok woźnicy. Zadziwiło to i mnie, ale była to rzecz tak małéj uwagi, żem do niéj wówczas wielkiego znaczenia nie przypisywała.

Ubiór jéj był prosty: stara czarna jedwabna suknia, czarny płaszcz i czarny kapelusz, także wualka zasłaniała twarz. Na dorożce leżał ogromny staroświecki kufer, który oczywiście kiedyś do podróżnego powozu należał. Był pokryty skórą, obity żelaznemi obręczami i gwoździmi. Dwie ogromne kłódki zamykały go.

Jego powierzchowność zgadzała się z właścicielką. Woźnica mógł go tylko z pomocą i nie bez trudności znieść z dorożki, jeszcze trudniéj było go unieść po schodach. Czy książki zawierał, że był tak ciężki? Musiał jednakże zawierać coś bardzo drogiego, bo właścicielka śledziła go niespokojnym wzrokiem, a sądząc z tego jak się o niego troszczyła nie wątpiłam, że tylko dla tego na koźle siedziała, ażeby być bliżéj swego skarbu. Gdy nareszcie kufer się dostał szczęśliwie do jéj pokoju, usiadła na nim i tak pozostała. Reszta jéj pakunków ograniczała się na niewielkim worku.

Gdy się o mieszkanie zgłosiła, nie podała nam żadnego nazwiska, późniéj przysłała w kopercie adres „Alpha, poste restante Dover.“

Kitty, służąca, pytała się jéj czy nie życzy herbaty i jak ją ma nazywać

„Dziękuję ci, proszę o herbatę“ odrzekła sucho, „co do mego nazwiska, jest to zbyteczne pytanie. Jak tobie na imię?“

„Kitty, do usług.“

„Dobrze więc Kitty, nie będziesz mnie inaczéj nazywała jak panią.“ Zarazem oddała należne za miesiąc pieniądze i żądała kwitu. „Pieniądze więcéj warte niż nazwisko“ dodała niedbale, mrucząc do siebie. „Co im po moim nazwisku, czyż ja mam jakie nazwisko? Ponieważ jéj to było niemiłem, a nam nic na tem nie zależało, nie zadawaliśmy żadnych pytań więcéj, a móc wiąc o niéj nazywaliśmy ją „ta pani z góry.“ Była oczywiście dziwaczką.

Czasami chodziła o zmroku po ogrodzie, twarz okryta wualem, ubrana tak samo jak w chwili przybycia do nas, oczy zawsze zwrócone na okna zajmowanego przez nią pomieszkania.

Pokazało się, że worek téj pani zawierał tylko trochę bielizny, cienkiéj i kosztownemi koronkami obszytéj, którą starannie utrzymywała. Przypuszczaliśmy, że ten kufer ciężki i wielki, coś więcéj zawierać musiał. Pomimo, że był przedmiotem naszéj ciekawości niemogliśmy wybadać, czy go kiedy otwierała. Kazała go tak ustawić, żeby był widziany z obydwóch pokoi. W ciągu dnia siedziała na nim, a z rana gdy jéj Kitty zanosiła gorącą wodę, zwykle miała wzrok zwrócony na kosztowny mebel.

W chwili przybycia do naszego domu, posiadała paczkę papierowych pieniędzy i pudełko kosztownych biżuterii, a choć sobie tylko niezbędne do życia wydatki pozwalała, pieniądze powoli wysyły, tak że w końcu prosiła Henryka ażeby jéj sprowadził kupca, któryby owe kosztowności chciał nabyć. Stało się według jéj życzenia.

Bez żadnéj zmiany lat kilka minęło; wiedzieliśmy dobrze, że środki jéj utrzymania są wyczerpane. Z tego powodu czuliśmy prawdziwe współczucie, mimo jéj — a może nawet dla jéj dziwacznego zachowania się, przyzwyczailiśmy się przyjaciółką ją nazywać. Jeśli te kosztowności były jéj jedynym majątkiem, cóż się z nią stanie? co może osoba w jéj wieku począć?

Co do jéj wieku zachodziły wątpliwości. Kitty, która najwięcéj z nią do czynienia miała, twierdziła, że nie jest tak starą. Zdawała się nie mieć ani przyjaciół ani znajomych. Nie pisała ani nie odbierała listów, w ogóle nie miała żadnéj styczności ze światem. Jedyną ucieczką i pociechą w naszéj obawie o byt jéj, był kufer. On był naszą nadzieją, mieczem którym przecinaliśmy gordyjski węzeł niepewności. „Bądź przekonaną“ mówił Henryk, „kufer zawiera srebra, przypomnij sobie jak był ciężki; może zawiera diamenty daleko znaczniejszéj wartości jak te, które dawniéj sprzedałem. Nareszcie naszéj wątpliwości co do wieku téj pani, położyło koniec przybycie komisarza, który spisywał liczbę ludności. — Uzbrojona tym ważnym papierem, zapukałam do drzwi, „Proszę“ odpowiedział głos głuchy.

Wszedłszy pokazując jéj rozkaz rzekłam „Czy mam pani zostawić ten papier?“

„Moje pismo mogłoby...“ rzekła jakby głośno myśląc, lecz w téj chwili urwała, gdy sobie przypomniała, że nie jest samą. Zwracając swe oczy na mnie — dziwne szare oczy, które tak wyglądały, jak gdyby nigdy nie płakały lub nigdy nie spały — dodała „chciałabyś pani być tak dobrą i to co potrzeba za mnie napisać?“

„Nazwisko pani?“ zapytałam, maczając pióro.

„A jakie jest pani?“ zapytała nawzajem.

„Mary Herbert.“

„Więc pisz pani Marta Herbert, to wystarczy.“

Spojrzałam na nią z zadziwieniem i rzekłam „Lecz czy wiesz pani, że ta pociąga karę za sobą?“

„Wiem, ale nazwisko jest bez znaczenia — tém więcéj dla kobiety. Podałam pani nazwisko, czy chcesz je wpisać?“ Nic nie mówiąc zapisałam je, choć widocznie było zmyślone.

„Wiek pani?“

„Dwadzieścia ośm lat.“

Pióro wypadło mi z ręki gdy wyrzekła tę liczbę.

„Tak“ dodała spotykając mój wzrok, „jest to święta prawda. Czy pani się bardzo dziwisz? Siwe włosy robią mię tak starą.“

„Zaledwie mogę wierzyć kochana pani, że się nie mylisz“ odpowiedziałam.

„Zasłużyłam sobie wprawdzie na nieufność pani, ale na zapytanie o mój wiek odpowiedziałam prawdę mam tylko dwadzieścia ośm — dwadzieścia ośm lat“

Boże drogi! pomyślałam, cóż za koleje życia musiała przechodzić? Włosy posiwiały, twarz się pomarszczyła i ciało zdaje się być głazem. Odosobnia się od świata, boi się naszego towarzystwa i wszystkie nasze usiłowania zdobycia jéj przyjaźni i współczucia odrzuca. Posiadała, o ileśmy mogli zmiarkować mieszkając z nią przez tyle lat, dokładne znajomości obcych języków, malarstwa i muzyki; pomimo to siedziała na kufrze przez cały dzień bez zajęcia, czasem tylko bieliznę sporządzając.

Przy dalszych zapytaniach, pokazało się, że się urodziła w parafii St. George, Hannower Sqnare, i że była wdową.

Od chwili tego wypadku częściéj o niéj rozmawialiśmy. Wiedzieliśmy, że pieniądze które za bizuterje otrzymała, już dawno na skromne potrzeby wydała. Od dwóch tygodni nie zapłaciła komornego a od czterech dni nie żądała żadnego pożywienia. Nie wiedzieliśmy co począć

Było to w poniedziałek rano, siedzieliśmy właśnie przy śniadaniu, gdy Kitty wpadła do pokoju mówiąc, że pani z góry leży zemdlała. Pobiegłam do niéj, poprosiwszy wprzód Henryka ażeby co tchu po lekarza posłał. Służąca mówiła prawdę, omdlenie nie było wprawdzie śmiertelne, ale okazało się, że biedna kobieta już od kilku dni bez zmysłów leżała. Gdy nieco przytomność odzyskała, widoczne było, że już jest blizką śmierci, a gdy lekarz przyszedł, oświadczył nam, że zaledwie jeszcze kilka godzin żyć będzie. Nie miała nikogo z przyjaciół kogobym mogła przywołać, a wszystkie moje namowy ażeby po księdza posłać, były bez skutku. Siedziałam przy jéj łóżku przez cały ciąg choroby w dzień i w nocy. Krótko przed śmiercią rzekła słabym głosem:

„Otwórz pani worek i podaj mi książkę.“

Wzięłam klucz, który mi podała i przyniosłam jéj to co żądała do łóżka. Był to zwyczajny zwój papierów. „Pani byłaś dla mnie dobrą“ rzekła, „zdawałaś się interesować mną. Gorąco pragnęłam mieć panią za przyjaciółkę, lecz moje tajemnice są tego rodzaju, żem ich

nie mogła za życia nikomu udzielić. Spisałam je tu dla pani, przyobiecaj mi, że téj książki przed moją śmierci nie otworzysz."

Dałem słowo i stosując się do życzenia włożyłam ją do kieszenie.

„Przyczytawszy ją dowiesz się pani przyczyny moich siwych włosów, moich lat dwudziestu ośmiu i mojéj trwarzy zmarszczonéj, lecz będzież — że miała litość nademną?

Z każdą chwilą słabła widocznie, powtórzyłam jeszcze raz zapytanie, czyby nie chciała ażebym jéj z biblii przeczytała słowa tego, którego litość i przebaczenie potrzebniejsze były niż moje.

Przyzwoliła. Czytałam przez pewien czas i sądziłam, że słowa te przynoszą jéj pociechę, gdy nagle zerwała się i ręką wskazując na tajemniczy kufer wykrzyknęła:

„Patrz, patrz, patrz!" poczem z prze aźliwym jękiem w znak upadła. Konanie było krótkie i niebawem wszystko ucichło. Cóż ona widzieć mogła? Co za widmo stanęło w jéj wyobraźni? Nie wiem, widziałem tylko ogromny czarny kufer na dawném miejscu.

Byliśmy zmęczeni i wycieńczeni; dla tego też wcześnie na spoczynek udaliśmy się.

Następnego dnia stosownie do przyrzeczenia przyszedł lekarz. Wziąwszy jego i Kitty na świadków, postanowiliśmy otworzyć kufer i zakończyć wszystkie nasze niepewności i przypuszczenia.

Przypuszczaliśmy, że zawierał kosztowne przedmioty i papiery wyjaśniające pochodzenia zmarłéj. Gdyby przypuszczenia nasze sprawdziły się, moglibyśmy odszukać familję, lub przyjaciół i tych o wypadku zawiadomić.

Ze drzeniem przystąpiliśmy do dzieła i oto cośmy znaleźli. Prześcieradło stare i z żółkłe leżało rozpostarte na wierzchu; gdyśmy chcieli je podnieść rozpadło się i ujrzeliśmy przedmiot który się rzadko ludzkim oczom przedstawia. Kitty krzyknęła, ja wpół zemdlała padłam w objęcia Henryka, nawet lekarz zbladł i cofnął się o kilka kroków, gdyż pod pieścieradłem leżały szczątki człowieka. Był to już tylko szkielet, kupa gałganów i zbutwiałe próchno, a pod tem leżały, kosztowny zegarek z łańcuszkiem, kilka brylantowych guzików i brylantowy pierścien, — przedmiotyza które zmarła mogłaby jeszcze kilka lat przeżyć dostatnio

Kto był ten człowiek i co było przyczyną zamknięcia trupa? Były to może szczątki ukochanego małżonka, z którym nawet po śmierci rozstać się niechciała? A może trup niewiernego kochanka, lub zazdrosnego męża? To więc było tajemnicą téj kobiety, która tak długo w tém strasznėm otoczeniu pod naszym dachem żyła.

Zaledwie teraz przypomniałam sobie o książce, którą jeszcze w kieszeni miałam. W uroczystéj chwili śmierci, w tem zmartwieniu, zmęczeniu i zamięszaniu, zupełnie o niéj zapomniałam.

Zamknąwszy starannie kufer i drzwi od pokoju, udaliśmy się na dół, a Henryk otworzył książkę i następującą straszną powi ść na głos przeczytał. —

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Kartaczówka. (Z ryciną.)

Nie wchodząc w szczegółowy opis kartaczówki systemu Meudon, w ogóle nie znanéj, któréj ogień podobnym jest do ognia plutonowego, podajemy na załączonéj rycini kartaczówki systemu Claxtona, których znów ogień podobny jest do wystrałów całemi szeregami, jak widzimy na rycinie, jest to zbiór luf karabinowych, obsługiwanych przez mechanizm, który je wszystkie od razu nabija i natychmiast potém wystrzela także wszystkie naraz; mechanizm ten daje się z najwięszą łatwością w ruch wprawić, działa szybko i pewno, jest tak trwały, że prawie nigdy nie może się zepsuć i wyrzuca 60 kul na minutę. Pułkownik Claxton zbudował swoje kartaczówki w trzech kalibrach, to jest, że średnica kul wyrzucanych przez nie jest różna. Pierwszy i drugi kaliber, nazwany przez wynalazcę artyleryą ręczną, wyrzuca pocisk, mający 25 milimetrów średnicy, i trzymający środek pomiędzy kulą działową i karabinową; trzeci kaliber, najmniejszy; wystrzeliwa kule 11 milimetrów średnicy mające. Jeden człowiek jest dostateczny do przeprowadzania kartaczówki z miejsca na miejsce, wraz z zapasem 750 ładunków, wystarczającym na 13 minut i nazwany został przez wynalazcę piechotą mechaniczną, dwóch ludzi potrzeba do obsługi jednéj kartaczówki.

Doświadczenia robione z temi maszynkami niszczącemi, dały takie wypadki: kaliber większy, postawiony na punkcie, artylerzyści zdjęli tylne trzecie koło, otwarli skrzynkę, przytwierdzili i nabili rezerwoar i pierwszy raz wystrzelii w ciągu 15 sekund, po minucie maszynka wyrzuciła już 120 kul. Te szczegóły dają poznać straszliwe skutki, do jakich maszynki te są przeznaczone, za tém idzie konieczna zmiana taktyki: długie fronty i ataki kawaleryi stają się niemożebne przy tych nowoczesnych machinach wojennych. Jakże to olbrzymio sztuka zabijania ludzi w naszym wieku postąpiła, a wszystko każe nam wnioskować, że to dopiero początek, i że sztuka ta jeszcze się bardziéj ud skonali. Na rycinie widzimy kartaczówkę wyżéj opisanego kalibru, to jest prowadzoną przez jednego i dwóch żołnierzy.

Szarada.

Drugie i pierwsze jest ozdobą wioski,
Trzecie i czwarte — to sobie dwie głoski,
Wszystek zaś dzwiga swego kraju troski.

(Rozwiązanie szarady w nr. 37: (***Mitralieuza.***)

Korespondencya Redakcyi.

Panu S. M. W. w Ostrowie: Żalujemy, ale drukowane być nie mogą. Panu N. pod Kościanem: Uwagi jego są słuszne.— Obszar mały pisma, nie pozwala dotykać wielu kwestyi, zkądinnąd bardzo zajmującyh.— Pani Hr: Za.. w Genewie: Wdzięczni jesteśmy za pamięć; posyłki dotąd nie otrzymaliśmy, zapewne z przyczyny nieregularności poczty.—Jeżeli ryunek okaże się dobrym, te prosilibyśmy o opis. — Panu Bolesławowi A. pod Przemyslem. — Bardzo dobrze — ale zechciéj pan wyraźniéj pisać. — Panu Jarosławowi H. w Krakowie: Stosujemy się do możności i okoliczności. —

Od Redakcyi.

W przyszłym numerze rozpoczniemy druk powieści „Nieszczęsny Legat" I. K. Turskiego. Powieść osnuta jest na stosunkach współczesnych i napisana z talentem właściwym temu autorowi. —

Przy nadchodzącym czwartym kwartale, upraszamy Szanownych abonentów Sobótki o odnowienie przedpłaty i życzliwe popieranie naszego pisma.

Nakład i redakcya księgarni M. Leitgebra i Spół. (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu). Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu